Nr. 19. We Lwowie, Poniedziałek dnia 5. maja. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO”.

Klowny.

(Historya cyrkowa).

Karykatura jest o wiele starszą od wyższej komiki, gdyż ludzkość stojąca na niższym stopniu cywilizacyi lubuje się przedewszystkiem w płaskokomicznych efektach.

Już stara Grecyja i Rzym miały swych błaznów, którzy przedrzeźniali pewne osobistości a przytem umieli pokazywać rozmaite sztuczki kuglarskie i na wzór dzisiejszych linoskoków skakali przez obręcze, wywracali kozły i t. d. Włoski arlekin jest prawdopodobnie potomkiem owych sztukmistrzów, na co zdaje się wskazywać już jego kostjum, zbliżony wielce do stroju trefnisiów starej Romy. Dotychczas nie wyjaśniono również, zkąd pochodzi nazwa arlekina. Jedni twierdzą, że dał jej początek dowcipny sługus hrabiego de Louvence, znany Pierrotend' Arlesquin. Francuzi znów utrzymują, że arlekin zawdzięcza swe powstanie Paryżowi i opowiadają stworzoną w tym celu legendę, jako za czasów Henryka III. przybyła do stolicy trupa komedjantów włoskich. W śród niej dowcipem i układnoscią miał się wyróżniać pewien chłopak, którego widywano bardzo często w domu Harlaya de Canvallon. Z tego też powodu nazwali go towarzysze małym Harlayem (Harlequino) Innie wreszcie wywodzą nazwę cyrkowych komików od Franciszka I, który szydząc nazwał Karola *Charles-Quint*. Natomiast Włosi opowiadają, że arlekinem był wesoły i pusty księżyna w Toskanii, który uwiecznił się swymi figlami.

— Arlekin na scenie była to figura albo silnie głupia, albo też przebiegła i bezczelna. W każdym razie arlekin musiał być dobrym tancerzem i skoczkiem. Zazwyczaj jako sługus był główną figurą średniowiecznej komedji. Jednym z najznakomitszych arlekinów w wieku XVII. był Riccoboni, Włoch angażowany w Paryżu z roczną płacą 15.000 lirów. Luigi Riccoboni jest protoplastą całego rodu cyrkowych skoczków, którzy wśród tej wędrownej gromady słusznie mogą się uważać za rodową arystokrację. Inny znów arlekin Pietro Maria Cechini został wyniesiony przez cesarza Macieja do godności szlacheckiej. znakomitością w tym rodzaju był również Dominico Biancocelli, ulubieniec Ludwika XIV. Ostatnim sławnym arlekinem na deskach teatru włoskiego w Paryżu był zmarły w. r. 1783 Karol Antoni Bertinazzi, zwany popularnie: Carlino Ten zabawiał paryżan przez lat czerdzieści z rzędu i pobierał z szkatuły królewskiej roczną płacę 8000 lirów. Jeszcze na cztery tygodnie przed zgonem, licząc lat 77 tańczył na scenie menuta. O nim to krążyła przez długie lata anegdotka, iż gdy radził się u lekarza o środek jaki przeciw hypochondryi ten miał mu odeprzeć. Idź pan na występ Carlina, to najlepszy środek przeciw hypochondryi! — Niestety Carlino, to ja sam! — zawołał biedaczysko.

Anglicy nazwali swego arlekina klownem. Widzimy go już w sztukach szekspirowskich tańcującego i spiewającego popularne piosenki: W tej postaci pojawia się klown i dziś jeszcze w pantominach przedstawianych w *Drury Lane* lub w *Coventgarden* po świętach Bożego Narodzenia. Pantominy tego rodzaju poczęły wchodzić w zwyczaj jeszcze z początkiem siedemnastego wieku, lecz obecna ich świetność datuje się dopiero od czasów Garrika. Pantomina rozpoczyna się rodzajem prologu, któremu za osnowę służy pierwsza lepsza bajeczka. Ku końcowi prologu następuje cudowna przemiana działających na scenie osób w arlekina, klowna, Kolombinę i Pantalona, poczem odegrywa się satyryczna komedja, w której karykatura mięsza się z głębszą ironią.

W październiku 1737 roku urządziła dyrektorka trupy lipskiej uroczyste *auto-da-fe* arlekina, który odtąd z każdym rokiem coraz to rzadziej ukazywał się na scenach niemieckich ustępując miejsca charakterystycznym i płaskim komikom.

Wypędzony z teatru, znalazł arlekin przytułek w cyrkowej arenie, z kąd wyparł wszechwładnie panującego pajaca (*Pagliaccio. Bajazzo)* Pajac był zarazem skoczkiem i mimikiem, który bez pomocy peruki i szminki wyprawiał z swą fizyonomią najpocieszniejsze grymasy, miewał komiczne przemowy do publiczności przed rozpoczęciem przedstawienia; w mniejszych miasteczkach stojąc przed budą zachęcał też gapiącą się gawiedź do odwidzenia spektaklu. Znakomitością w tym rodzaju był Auriol, pajac w cyrku paryzkim Astleya i Franconiego (w r. 1793). Auriol z szalonem powodzeniu parodyował Robespiera, który jak wiadomo bardzo licho siedział na koniu. Na starej szkapie i przybrany w odpowiedni kostjum objeżdżał arenę zlatując co chwila z siodła

Era rozkwitu towarzystw cyrkowych przypada na rok dwudziesty naszego stulecia, kiedy to pojawiły się wielkie przedsiębiorstwa Guerry, Loisseta, Perciry, Dejarsa, Guillaume'a. Z chwilą, gdy Ernest Renz stanął na czele cyrków niemieckich, dawny pajac zniknął już bez śladu zastąpiony przez francuzkich i angielskich klownów.

Z cyrkiem Baptysty Loisseta przybył do

Niemiec klown francuzki Auriol *(junior)* który zrzuciwszy dawny kostjum arlekina występował w trykocie i w kostjumie jedwabnym. Tylko twarz zamączona i peruka biała świadczyły, że mamy do czynienia z klownem. Jako akrobata popisywał się swymi ćwiczeniami, kończącymi się z reguły wzajemnem policzkowaniem wszystkich występujących. Obok Auriola najgłośniejszymi reprezentantami tego nowego kierunku byli: Godfroy, który w Kopenhadze wykradł głośną w swoim czasie Katarzynę Rencówną, Charles Leon, syn lekarza poświęcający się zawodowi cyrkowemu z miłości dla woltyżerki, wreszcie włoch Marianni.

Elegancka, parterowa gimnastyka przejadła się niebawem publiczności. Była za mało drastyczną. W modę weszli angielscy klowni będący równocześnie akrobatami, groteskowymi komikami, ekwilibrystami i żonglerami. Twarz namazana mąką przypomina pajaca, usta czerwoną farbą szeroko podkreślone pierrota.

Strój tych klownów składa się z fałdzistego kostjumu, pstrego malowanego w dziwaczne figury; głowę pokrywają zazwyczaj stożkowym kapeluszem z filcu. Jednym z pierwszych klownów angielskich, znanych na kontynencie był Little Wheat, który dziś jeszcze żyje jako sędziwy staruszek w Medyolanie i Staafford. Dziś pierwszorzędnemi siłami w tym kierunku są: Tony Grice, Renz, Little Freed i bracia Leektórzy znów stworzyli nowy rodzaj sztuki klownowskiej, t. z. klownów muzykalnych. Produkcye te polegają albo na tem, że występujący w nich klowny grają na rozmaitych instrumentach przybierając rozmaite pozy akrobatyczne, albo też popychają się podczas grania, wywracają kozły, i „kaskady“.

Klown angielski od lat trzydziestu opanował arenę i niedaje się z niej wyprzeć, jakkolwiek usiłowano go zastąpić klownami gadającymi. W tej gałęzi doprowadzili do rozgłosu Polacy: Godlewski i bracia Olszańssy, występujący w cyrkach rosyjskich.

Nowym wynalazkiem „w dziedzinie cyrkowej“ jest klown ekscentryczny przybrany w kostjum Phoitesów, którego specyalnością są sztuki łamane. Bardziej wszakże od niego popularnym jest „durny August“, figura przedstawiająca w ryżej peruce i z nosem czerwonym komiczny typ niezdarnego stajennego, wiecznie zajętego a mimoto psującego wszystko. Dla rozmaitości robi „kaskady“, lub przewraca się przez szranki maneż. Jest to — jak dotychczas — ostatni wyraz cyrkowej pomysłowości.

Saltarino.

ŻADNA!

(Z cyklu „Pyłków“)

przez Ursyna.

(Dokończenie).

Ale nie! Wie doskonale, że ta posągowa a namiętna jego Lola, jest dziś matroną poważną, opływa w szacunek i dostatki i przy spotkaniu obrzuci go pełnem lekceważenia spojrzeniem. Ta czarnooka Emma upadła, upadła tak nizko, że dziśby go tylko cynicznym śmiechem na zwiędłych ustach przyjęła... A owa płocha filuterna P pita jest dziś gwiazdą teatralną, której szereg młodych i starych wielbicieli rzuca bukiety i brylanty i całuje te drobne, śliczne paluszki, niegdyś igłą pokłute...

Żadna!... żadna o nim nie pamięta, nawet ta ostatnia, ta jego rudowłosa Adela!...

Z jakim wstrętem spojrzała dziś na niego! Jakże się czuł strasznie upokorzonym, gdy nachylając ku niemu, swoją zgrabną figurkę, krzyknęła mu: „głupi niedołęgo!“ i rzuciła mu pod nos ów pęk włosów, nieszczęsnych jego siwych włosów.

W tej chwili przypomina sobie te wszystkie kobiety, które mu się oddały i przypomina sobie, jak im przysięgał i jak mu one wierzyły... Widzi kolejno każdą i każda go inaczej, każda po swojemu kochała! Ale jakże go one gorąco, jak że go one szalenie wszystkie kochały?... Wszystkie później widywał i wszystkie go z obojętnością mijały. Żadna nie zwróciła na niego uwagi żadna nie zadrżała, żadna!

Może ta jedna, ta pierwsza, cicha i zapomniana, cierpi przez niego, może ta pierwsza o nim pamięta?...

Wypił poncz prawie duszkiem i spojrzał po knajpie.

Zadymioną była; ale już się opróżniała. Na estradzie zagasły swiatła. Ze stolików zdejmowano obrusy, tu i owdzie przykręcano lampy gazowe. Otchłanią brudną, niby trupiarnią, wydawała się teraz w dyskretne mroki skąpana długa, wązka sala, z kącików której dobiegały jeszcze powstrzymywane a nerwowe śmiechy kobiet i kobiet oraz chrypliwy szept mężczyzn.

Zastukał.. i ten sam stary, łysy i wypomadowany Bolesław stanął przed nim. Był mizerny i blady w tym półmroku, jaki w sali panował.

— Czem mogę służyć? — zapytał, schylając głowę.

— Niczem. Powiedz mi, jakim sposobem mnie poznałeś?

— Myślałem o panu w tych czasach często i przypomniałem sobie pana.

— Dlaczego o mnie myślałeś?

— Miałem do tego powód — szepnął z zachęcającym a tajemniczym uśmiechem.

— A czy pamiętasz dobrzę tę małą, bladą dziewczynę?...

— O, bardzo dobrze!

— Zamilkł i małemi, zaczerwienionemi od niewyspania oczyma spojrzał na gościa.

Widuję ją często — dodał z uśmiechem.

— Gdzie? gdzie ją widujesz?

Mieszka tu w tej kamienicy. Wyszła zamąż, ma pięcioro dzieci. Uważa pan, ja za dnia godzę się do froterki. Otóż u nich froteruję. Mieszkają w oficynie, ale bardzo przyzwoicie. On ma jakiś urząd w biurze. Bardzo porządny człowiek. Poznałem ją, ale ona mnie nie poznała. Pozna-

łem ją, bom słyszał, jak mąż mówił do niej: „Anno.“ A potem poznałem ją po włosach, po oczach i po tych dołkach, co się jej — pamięta pan? — na twarzy robiły, kiedy się śmiała. Upewniłem się zaś, że to ona, bo mię któregoś dnia posłali na strych po jakiś stary kufer. Kiedym go wytrząsł, wśród kilku zażółconych papierów i pomiętych gazet, spostrzegłem zbrudzoną jakąś fotografię. Była to pańska fotografia...

Na chwilę się zatrzymał i znowu się uśmiechnął.

— A wie pan — dodał — że to jeszcze przystojna kobieta, dalibóg! A jaka gospodarna, wesoła! Ciągle nuci, dzieciakom coś szyje, w kuchni obiadu pilnuje...

— Milcz!

Bolesław zamilkł i wązkie wargi znowu do uśmiechu ułożył.

W sali gaszono ostatnie światła.

I nagle od strony estrady zaszeleściły wykrochmalone spodnice i w tym półcieniu, jaki panował, ukazała się sylwetka kobiety.

— Była to wysoka i smukła kobieta.

Miała z lekka zarzucone na ramiona okrycie, kapelusz wielki, pstrokaty, z pod którego wymykały się krótkie, w pukle ułożone blond włosy.

Stanęła, spojrzała na gościa, który z wściekłością targał dewizkę, prawie szeptem poczęła nucić:

„Ich trinke nicht mehr, nein, nein!“...

I zwróciła się ku wyjściu.

Za chwilę gniewny gość był już przy niej.

Wyszli razem.

Kalewala.

Na poświęconej pięknu ziemi greckiej urodziła się Illiada; nad brzegami Gangesu wydała płomienna fantazja Indjan Mahabaratę; Kalewala przyszła na świat wśród świerków i jodeł posępnej Północy.

Smutny przedstawia obraz jej ojczyzna, Finlandja. Twórcza ręka natury nie wiele zadała sobie pracy około ozdobienia tych okolic. Falisto zniżająca się ku morzu płaszczyzna, pokryta gęstymi lasami szpilkowymi, przez znaczną część roku biała od śniegu, w ciepłej zaś porze ledwie słabą pokryta wegetacją — oto kolebka Kalewali. Jakaś dziwna melancholia zdaje się wisieć tu nad wszystkiem nawet wówczas, gdy latem śnieg staje i rozległe łąki wdzięczą się zielonością...

Ten posępny nastrój musiał przejść oczywiście także w dziedzinę poezji ludowej fińskiej. Trudno też żądać, aby Kalewala miała tę pogodę, jaka owiewa dźwięczne heksametry Illiady, lub ten żar namiętny, który niby odbicie zwrotnikowego słońca promieniuje z Mahabaraty. Fińczyk zmuszony walczyć dla utrzymania swego życia nietylko z gruntem nieżyznym i surowym klimatem, lecz także z wilkiem, niedźwiedziem i rysiem, czyhającymi nań na każdym kroku, — Fińczyk skazany od kolebki do grobu na samotność, odcięty od reszty świata, musiał za punkt wyjścia swej poetyckiej fantazji obrać monstrualność i musiał melancholią zabarwić tło swych pieśni.

Monstrualnie też przedstawiają się naszym oczom postacie, które wprowadza Kalewala i smętność ogarnia jej słuchacza.

Wyśpiewał tę epopeję nie wieszcz jeden; Kalewalę nazwaćby można dziecięciem całego ludu fińskiego. Zwolna składano cegiełkę po cegiełce, aż gmach stanął cały.

Już to w ogóle zamiłowanie do pieśni cechuje Fińczyków, nietylko dawnych, lecz i dzisiejszych. Mozolne dni pracy i długie wieczory zimowe urozmaica sobie Fińczyk śpiewem. Przy robocie i przy wypoczynku pieśń go nie opuszcza, a gdy znajdzie chwilę swobodną, to bierze jeszcze w pomoc kantelę instrument muzyczny podobny do cytry.

Odznacza się lud ten także zamiłowaniem do poezji, które znowu znajduje podporę w języku, niezwykle dźwięcznym i czystym. Wybitniejsze zdolności spotykają tam zaraz uznanie i zyskują dla swego właściciela zaszczytną nazwę „mistrza pieśni.“

Tacy tedy domorośli „mistrzowie“ opiewali zdawien dawna wszystkie ważniejsze wypadki, dolę i niedolę swego ludu. Mili towarzysze w chwilach szczęścia, łagodzili oni także ciężkie przejścia swem pieniem, — stali się niemal instytucją narodową, otaczaną przez wszystkich szacunkiem.

Oni to w prastarych czasach runami kreślili dzieje ojczyste, oni mityczną przeszłość oblekali w szaty poezji, powierzali ją dźwiękom pieśni, których echo pomknęło daleko w przyszłość, dostało się aż do dziedziny doby naszej.

Sama tylko przyroda była ich nauczycielką; wicher i szmer gęstych borów uczył tych prostych ludzi prawideł rytmu, stare baśnie zaś i monotonna, a jednak w zjawiska tak bogata przyroda tworzyła dla nich niewysychające źródło natchnienia.

Pożądanie pali mnie potężne.
Co też mi się nie marzy i nie śni!
Jakaś dziwna porywa mnie siła
I rozwiera me usta do pieśni.
Kalewali — ród pragnę opiewać,
Mego szczepu dzieje pełne chwały;
Tajemnicze bohaterskie pienia
Dawno zmierzchłe czasy mi podały.
Niegdyś ojciec śpiewał je, gdy pracą
Miał zajęte uznojone dłonie, —
Innych znowu uczyła mnie matka,
Gdy — bywało — siędzie przy wrzecionie.
Ja u stóp jej wesoło igrając,
Zwyklem za nią powtarzał i śpiewał,
Choć dzieciakiem byłem jeszcze wtedy.
— Nawet wąsik mi się nie zasiewał.
Nauczyłem się też innych rzeczy;
Tajnych zaklęć nie obcą mi siła;
Ja-m po drodze zbierał je skrzętnie,

Bujna łąka mnie niemi darzyła.
Opadały one z drzew wśród b ru,
Z kwiatów krzewu, jak jagody prawie,
Gdy-m te kwiaty z gałązek odrywał,
Na kwiecistej spocząwszy murawie.
Także śniegi i mrozy zimowe
Mnie uczyły pieśni, także deszcze;
Wichry znowu wiejące od morza
Zaklęć słowa mi niosły złowieszcze,
Pełne były też ich ptasząt tony
— Wciąż zaś baśnie gwarzył las zielony.

Oto obraz tej naturalnej produkcji poetyckiej, obraz wierny, bo-ć przedstawiony przez jednego z tych, których gieniusz ludowy obrał za swe narzędzie.

Kalewala, jak to mieliśmy sposobność już zauważyć, jest nazwiskiem nie osoby, jeno dawnej ziemi fińskiej i od tej ziemi otrzymała epopeja ludowa, o której rzecz się toczy, swe miano. Bohatera w dzisiejszem tego słowa znaczeniu Kalewala nie ma. Ścierają się w niej dwie siły, a ich reprezentantantami są z jednej strony stary pieśniarz Waeinaemoinen i jego towarzysz Ilmarinen, niezrównany siłacz, kowal z zawodu, — z drugiej zaś strony przywódcy szczepu Pohjoli (Lapończyków). Wspomnianego pieśniarza i kowala przedstawia epopeja, jako ojców fińskiej cywilizacji. Zakładają oni osady, pracują nad złagodzeniem obyczajów i to zą zwycięskie walki z swymi wrogami z Pohjoli. Około nich to ugrupowała pieśń wszystkie epizody poematu, wijące się w mnóstwie, niekiedy powikłanych splotów opowiadania, niby giętkie łodygi jemioły około wyniosłych dębów.

St. R.

(Dokończenie nastąpi).

GOŚĆ.

(Z cyklu „Młode małżeństwo.“)

Szkolne mnie z nim zetknęło życie...
Najlepszym zawsze był kolegą;
Odpisywałem pensa jego,
A podpowiadał — znakomicie!

Ileż to razy z ciężkiej biedy,
Gdy wszelka znikła już otucha.
On zręcznie wyratował drucha!
Ach, jak ja go kochałem wtedy!

I dzisiaj — przysiądz śmiało mogę —
Sympatję równą żywię szczerze,
Tylko, że.. lęk mnie pewien bierze,
Gdy mi ten człowiek wejdzie w drogę.

Bo mogą sobie szkolne chwaty
Mówić i robić, co chcą zgoła;
Ależ wizyta to nie szkoła,
A ja... wszak jestem już żonaty!

Z góry na takie patrząc rzeczy,
Oczyma „etykietofobji“,
On wszystkiem tem, co powie, zrobi
„Przepisom towarzyskim“ przeczy.

Wstrętne mu jest ich przykazanie:
On rozumuje sobie chytrze,
Że chociaż z błota nóg nie wytrze,
Posadzka.. w miejscu pozostanie!

A minąć już oburzenie miota.
„Jak się masz!“ witam go uprzejmie.
„Rozgość„ się!“ — Także coś! Nie zdejmie
Za nic na świecie paletota.

Że zaś przybywa niegolony,
Że jego kołnierz i manszety,
Mogłyby świeższe być... Niestety,
Fakt to... spytajcie mojej żony.

Ba. gdybyż tylko wybryk taki,
Lecz — niech mu Pan Bóg nie pamięta, —
Większe on zdradza mankamenta,
Ma jego grzeczność większe braki!

Brr! Gdy rozogni się w rozmowie
Ma temat kobiet schodząc nagle,
Zuchwalstwo wtedy dmie mu w żagle
I siedzi afront w każdem słowie.

Gdy zaś już bardzo jest łaskawy,
To szkolne czaty przypomina...
Naówczas karcer, klęczki, trzcina
I gorsze jeszcze wchodzą sprawy.

Gryzę wąs wówczas, żonce bowiem
Zataić chciałem te szczegóły,
Więc wylew jego wspomnień czuły
Przypłacam zawsze prawie zdrowiem.

Chrząkam, przerywam mu, daremnie:
Jakby go najął kto, tak gada!
Ba, wciąż obfitsza jego swada,
A tu się aż gotuje we mnie!

Zakończył wreszcie! Chwała Bogu!
Lecz lada słówko go podnieca...
— „Ach, prawda, jeszcze jedna heca!“
Nieszczęście moje! Stanął w progu!

I znów per longum et per latum
Jakąś mi płochość wypomina;
Przeszło godziny pół, godzina —
Ha, zniszło w końcu moje fatum.

Na biurku praca rozpoczęta
Błagalnie ku mnie patrzyć zda się...
Siadam . daremnie... Po niewczasie!
Niech go tam wszyskie elementa!

W głowę się skrobie gniewnie sługa,
Gdy na posadzkę wzrok jej padnie.
— „To błota nakładł mi szkaradnie!
Człek się i rydlem nie dostruga!“

Najmniejsza jeszcze rzecz z posadzką,
Ale co brzydki ów niecnota
Na mnie samego nakładł błota
Przez gadatliwość świętokradzką!

Ach, drżę przed panią moją miłą
I z trwogi słowa mi się mącą,
Kiedy zapyta z miną drwiącą:
— „Przyznaj się, jak to, co to było?“

St. Ross.